Czekając na Chopina

Refleksje po filmie „Pianiści – grają Chopina” w kontekście XVIII Konkursu Chopinowskiego

Kadr z filmu „Pianiści – grają Chopina”

Bożena U. Zaremba *(Floryda)*

Raz na pięć lat, mój świat zatrzymuje się w miejscu, żebym

mogła oddać się muzyce Fryderyka Chopina i przenieść w czarowną, niepowtarzalną, a nade wszystko piękną krainę, w której intymny podmuch zefirka przeplata się z szaleńczym huraganem emocji. Na XVIII Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny im. Fryderyka Chopina w Warszawie czekaliśmy dłużej niż zwykle, ale warto było, bo poziom gry zdawał się przerosnąć oczekiwania nawet samego jury. Zainteresowanie występami kolejnych pianistów z całego świata było ogromne, a poglądów o talencie wykonawców, o samym Konkursie i oczywiście decyzjach jury było więcej niż czasu na ich przeczytanie czy wysłuchanie. Komentarze, zarówno znawców jaki i zwykłych melomanów, były burzliwe i często rozbieżne:

> Tempo walca zdecydowanie za szybkie! Marsz żałobny zagrał tak wolno, że można było zasnąć! Skąd, przecież to wykonanie było ogromnie głębokie i dojrzałe. Gdzie się podział styl brillante? A co z kantyleną? To jest skandal, że on nie dostał się do finału! Pianiści nie powinni zasiadać w jury. Jak można było nie dać jej żadnej nagrody?! Konkurs ma przede wszystkim wyłonić świetnego pianistę. Ależ nie, konkurs ma przede wszystkim wyłonić najbardziej przekonywującego interpretatora muzyki Chopina. Tylko przypatrz się czyimi studentami są zwycięzcy…

Dylematy te towarzyszą konkursowi od zawsze, czego dowodem

jest film Tomasza Magierskiego „Pianiści – grają Chopina” z 2005 r. Przedstawia on historię czterech amerykańskich pianistów, laureatów konkursu im. Fryderyka Chopina w Miami i ich udziału w XV Międzynarodowym Konkursie Chopinowskim. (Pamiętajmy, że to konkursy wyjątkowe – jedyne, na jakich gra się utwory wyłącznie jednego kompozytora, co dla uczestników stanowi dodatkowe wyzwanie. Mamy możliwość śledzić poszczególne etapy ich przesłuchań, ćwiczenie w salach Akademii Muzycznej w Warszawie, wybór instrumentu, a także być świadkami ich stresów i rozczarowań związanych z uczestnictwem w Konkursie. Przy okazji, młodzi pianiści – **Rachel Kudo**, **Sean Kennard**, **Esther Park** i **Mei-Ting Sun** – opowiadają o historii swojej muzycznej pasji, jej wpływie nie tylko na ich życie, ale niejednokrotnie także na losy ich rodzin, mówią o swoim rozumieniu i podejściu do muzyki Chopina, wreszcie o oczekiwaniach względem Konkursu i przyszłej kariery. O ile każdy z nich jest odmienną i jedyną w swoim rodzaju osobowością, nie można się oprzeć wrażeniu, że pianiści startujący w tegorocznym konkursie mieli często podobne doświadczenia, losy i przemyślenia.

Kadr z filmu „Pianiści – grają Chopina”

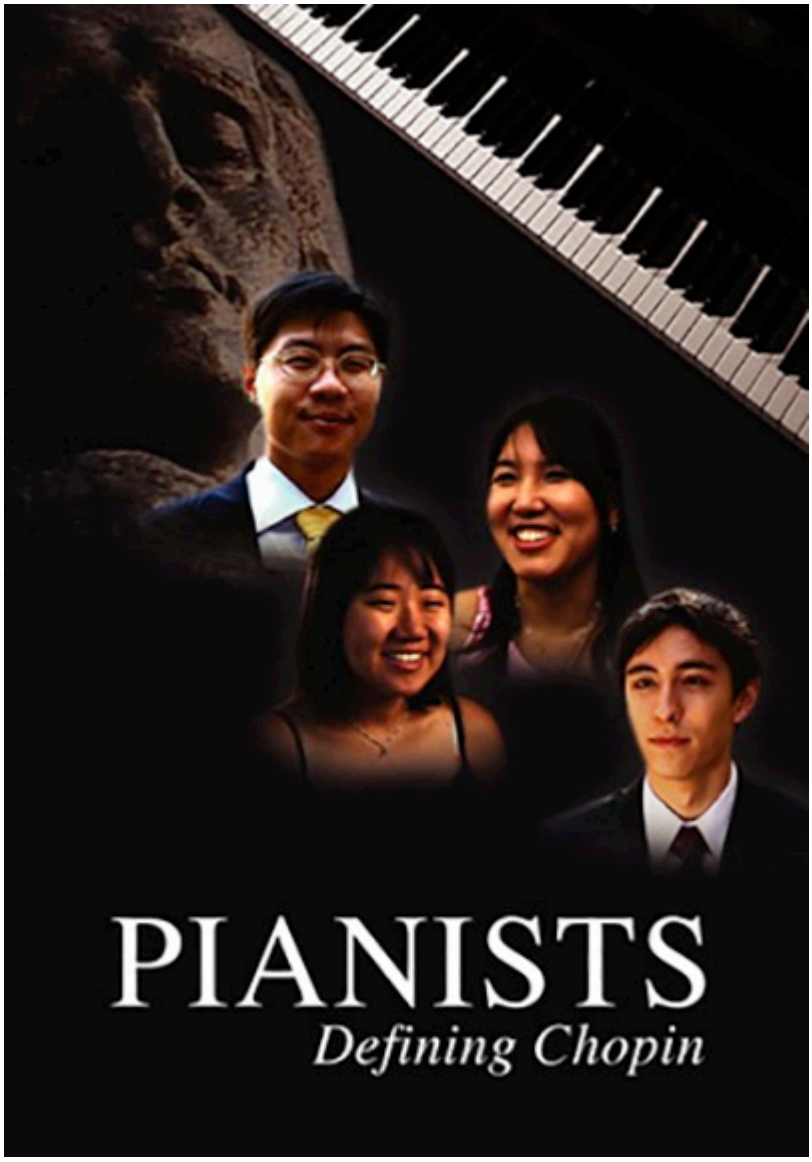

Uniwersalność świata pianistyki jest także widoczna we wplecionych w narrację filmową wypowiedziach ośmiu uznanych amerykańskich pianistów, nauczycieli fortepianu i muzykologów (w tym profesorów czwórki pianistów). Słyszymy ich przenikliwe spostrzeżenia na temat fenomenu Chopina, technicznych wyzwań i czaru jego utworów, emocjonalnego oddziaływania jego muzyki zarówno na specjalistów jak i laików, a także trudności w osiągnieciu harmonii między warsztatem a muzykalnością.

Do jakiego stopnia pianista jest jedynie narzędziem realizującym zamiary kompozytora, a do jakiego stopnia może naznaczyć dany utwór swoją osobowością? Czy istnieje idealna interpretacja? Dlaczego pianiści chcą brać udział w konkursie? Czym pianista musi się wykazać, żeby wygrać konkurs? Czy jakikolwiek konkurs pianistyczny ma w ogóle sens? Jaką wartość może Konkurs Chopinowski stanowić dla słuchaczy? Opinie tych autorytetów nie są bynajmniej ostateczne i nie koniecznie trzeba się z nimi zgodzić, ale wiedza, wrażliwość i dogłębne spojrzenie na temat są inspirujące. Mnie zachęciły do powrotu do niedawnych przesłuchań na konkursowym kanale YouTube, na przykład do wzruszeń związanych z fenomenalnym wykonaniem **Aimi Kobayashi** 24 Preludiów op. 28. Te przepiękne miniatury muzyczne zgrała nie tracąc napięcia ani na moment, tak, że wydawały się być jednym, ciągłym utworem. Snuła przy tym niteczkę fascynujących opowieści i zachwyciła paletą dynamiki i emocji. Chętnie też wyciągnę z płytowej kolekcji nagrania wielkich klasyków – Rubinsteina czy Zimermana, którego interpretacja Mazurków z op. 24 podczas zmagań konkursowych w 1975 r. była dla mnie przełomowym momentem – muzyka poniekąd już mi znana stała się nagle zjawiskiem magicznym. Wtedy wyłączę z pamięci komentarze. W końcu czy one zawsze są istotne, czy bywają tylko ciekawe?

Kadr z filmu „Pianiści – grają Chopina”

Kadr z filmu „Pianiści – grają Chopina”

Jedna scena z filmu mocno mnie ubawiła: nadopiekuńcza mama masuje ramiona i chusteczką uporczywie wyciera usta jednemu z uczestników Konkursu przed wejściem na scenę. Ubawiła, ale także przypomniała, że startują w nim ludzie młodzi, często przed ukończeniem 20 roku życia, a ich kariera, mimo niejednokrotnie wygranych już wcześniej innych konkursów, dopiero się zaczyna. Po obejrzeniu tego filmu, nie można, więc oprzeć się pokusie zajrzenia do Internetu, żeby sprawdzić, jak ta

kariera potoczyła się w przypadku czterech artystów, którym podczas XV Konkursu w 2005 r. świat na chwilę się zatrzymał. Niektórym z nich mogło się nawet wydawać, że to koniec świata.

---

*

PIANISTS – DEFINING CHOPIN

90 min., dokument, 2006 r.

Reżyseria: Tomasz Magierski
Autor: Tomasz Magierski
Operator: Andrzej Adamczak
Redaktor: Tomoko Oguchi
Producent: Tomasz Magierski

Muzyka w wykonaniu: **Mei-Ting Sun**

Film dokumentalny o Międzynarodowym Konkursie Pianistycznym im. Fryderyka Chopina w Warszawie w 2005 roku. Reżyser skupiając się na czterech amerykańskich młodych pianistach, pokazuje w filmie, jakke wyzwania stoją przed uczystnikami oraz jak konkurs ekscytuje i rozczarowuje ich podczas trzydziestodniowej imprezy. Pokazane są kwestie

pochodzenia etnicznego, różnic kulturowych i tożsamości oraz proces samopoznania poprzez dyscyplinę i edukację, które są bardzo istotne podczas konkursu. To opowieść o zwycięstwie i porażce, radości i rozczarowaniu, wspaniałym życiowym przeżyciu i przygodzie, z muzyką Chopina w centrum. Film „Pianists – Defining Chopin" podkreśla różnorodność kulturową i jednoczącą siłę muzyki. To poruszająca, przejmująca i fascynująca opowieść o pragnieniu młodych muzyków, by zdobyć uznanie na najwyższym światowym poziomie. Reżyser filmu, Tomasz Magierski, komentuje: *Widownia odbywa z nimi podróż i doświadcza indywidualnych wzlotów i upadków oraz ogromnych obciążeń psychicznych i fizycznych, jakie muszą znosić. Dowiadujemy się, co tak naprawdę oznacza bycie pianistą.*

*

Film dostępny on-line od 21 do 31 listopada 2021 r. na platformie Austin Polish Film Festival:

https://www.austinpolishfilm.com/shorts2021/#week3

https://www.austinpolishfilm.com/shorts2021

Zawieszenie magazynu „Culture Avenue”

Joanna Sokołowska-Gwizdka, fot. Henryk Przondziono

Kochani autorzy, drodzy czytelnicy, miłośnicy i sympatycy

magazynu „Culture Avenue”!

Z przykrością muszę zawiadomić o konieczności zawieszenia strony.

Od trzech lat borykałam się z fotografką, która za użycie fotografii Czesława Miłosza jej autorstwa w przedruku, zażądała bardzo wygórowanej stawki za licencję. W czerwcu 2021 r. sprawa trafiła do sądu. W wyniku negocjacji i podpisanej ugody mam do zapłacenia ok. 3.5 tysiąca dolarów. Magazyn redaguję od 2016 r. całkowiecie wolontaryjnie, nigdy nie otrzymałam żadnego grantu, ani dofinansowania.

Wirtualna aleja jest platformą, dzięki której spotykają się polscy pisarze, poeci i artyści ze świata. Wokół niej powstało środowisko, dla którego komercja nie jest pierwszoplanowa i które sobie pomaga. Ilu twórców już się spotkało na „Culture Avenue”, ile powstało ciekawych projektów i ile wystaw przerodziło się w realne propozycje w galeriach.

W obronę magazynu zaangażowali się autorzy. Napisali list do fotografki podpisany przez kilkudziesięciu twórców emigracyjnych, dla których prawo autorskie jest przecież istotnym elementem pracy. Osobny list napisał Jarosław Abramow-Newerly, od ponad 50 lat żyjący z tantiem Zaiksu. Niestety prawo autorskie w Polsce chroni wyłącznie autorów, nie

wydawców i nie ma ograniczenia dla roszczeń twórców.

Jeśli uznają Państwo, że warto wesprzeć tę niekomercyjną działalnosć kulturalną, jaką jest platforma „Culture Avenue”, podaję adres strony crowdfundingowej:

https://www.gofundme.com/f/wsparcie-dla-magazynu-culture-avenue?utm_medium=email&utm_source=product&utm_campaign=p_email%2B7002-thank-you-instructions-v5

Joanna Sokołowska-Gwizdka

redaktor magazynu „Culture Avenue”

*

Jarosław Abramow-Newerly, fot. Marek Nowicki

LIST OTWARTY W SPRAWIE ISTNIENIA „CULTURE AVENUE”

Jarosław Abramow-Newerly *(Toronto)*

Artystka fotografik z Krakowa wytoczyła proces sądowy o naruszenie praw autorskich Joannie Sokołowskiej-Gwizdka założycielce i redaktorce portalu internetowego „Culture Avenue”, który wysoko cenię. Pani Joanna zupełnie nieświadomie przedrukowała artykuł ze zdjęciami fotografki bez jej zgody. Ochrona praw autorskich jest rzeczą ze wszech miar słuszną. Sam jako pisarz i kompozytor od ponad pół wieku jestem chroniony przez Stowarzyszenie Autorów „Zaiks” i żyję w dużym stopniu z tantiem autorskich. Ale w tym wypadku zachodzi sytuacja szczególna. Joanna Sokołowska-Gwizdka stworzyła portal internetowy w Teksasie z potrzeby serca działając

społecznie i nie biorąc za swoją pracę ani dolara. Również autorzy „Culture Avenue” piszą swoje artykuły honorowo. Obciążenie tak wysoką karą ten portal stawia pod znakiem zapytania jego dalszą działalność z wielką szkodą zarówno dla rozsianej po całym świecie Polonii jak i kultury w Kraju. W swojej niezwykle cennej działalności bowiem „Culture Avenue” zdołała dotrzeć do wielu miejsc związanych z Polską. Ostatnio z sukcesem nagłośniła miejsce zamieszkania w Teksasie wielkiej polskiej aktorki Poli Negri. Joanna Sokołowska-Gwizdka jest utalentowaną dziennikarką, autorką książki „Teatr spełnionych nadziei” o jedynym emigracyjnym teatrze w Toronto prowadzonym od lat przez niestrudzoną Marię Nowotarską. Jej społeczna kulturotwórcza aktywność została doceniona w Kraju za co Pani Joanna otrzymała nagrodę. W moim najgłębszym przekonaniu ukaranie tak wartościowego społecznika, propagatora naszej kultury jest bardzo krzywdzące. Apeluję do Pani fotografki. aby w tym szczególnym wypadku odstąpiła od egzekwowania swoich praw autorskich i darowała Pani Joannie nieświadomie popełnioną winę. Mam nadzieję, że liczni czytelnicy „Culture Avenue” poprą mój list.

*

LIST OD TWÓRCÓW NA EMIGRACJI W OBRONIE

„CULTURE AVENUE”

Szanowna Pani,

zwracamy się do Pani w związku z niepokojącą wiadomością o tym, że redaktor internetowego magazynu „Culture Avenue” – Polska kultura poza krajem, Joannie Sokolowskiej-Gwizdce, wytoczony został przez Panią proces o naruszenie przez Nią Pani praw autorskich, tj. użycie materiału fotograficznego Pani autorstwa.

My, środowisko artystów, twórców i badaczy kultury poza granicami Polski, zgadzamy się z Panią w rzeczy samej: prawa autorskie są i powinny być strzeżone, są bowiem identyfikatorem autora i jego/jej osiągnięć. Niemniej, wskazujemy uprzejmie na fakt, że publikacje internetowe aż nazbyt często cechuje brak uwiarygodnienia lub wręcz podania rzetelnych informacji i źródeł, co w wypadku, szczególnie zaś przedruku, stwarza sytuacje ryzykujące prawa autorskie tak dla autorów jak i redaktorów i wydawców działających w Instytucji Kultury, co niefortunnie miało miejsce w przypadku przedruku z fotografią Pani autorstwa w „Culture Avenue”.

Rozumiemy, że przedruk Pani materiału fotograficznego był niezamierzonym i nieświadomym uchybieniem. (…) W ramach stosownej etyki zawodowej i osobistej, publikacja została zdjęta z

witryny magazynu, a Joanna Sokołowska – Gwizdka, prawdziwie i solennie Panią przeprosiła oraz wyraziła gotowość do przeprosin publicznych na łamach magazynu lub wskazanego przez Panią medium. Reakcja zgodna z Jej niekwestionowaną prostolinijnością, a także, prawością i uczciwością; potwierdzaną tu przez środowiska, które w złożonych podpisach reprezentują ten list, będący zarazem i prośbą skierowaną do Pani o zaprzestanie postępowania przeciwko Joannie Sokołowskiej – Gwizdce i wsparciem dla Niej na okoliczność Pani działania.

Powiedziawszy co powyżej, pragniemy przekazać Pani istotne fakty, które decydują o naszej postawie względem Joanny Sokołowskiej – Gwizdki, a które, liczymy, zmienią Pani decyzje.

Joanna Sokołowska Gwizdka prowadzi internetowy magazyn „Culture Avenue" – Polska kultura poza Krajem od 2016 roku całkowicie bezinteresownie, a jako redaktorka działa ekskluzywnie na rzecz dobra społecznego. Jej praca ma charakter ponadjednostkowy i służy ogółowi. Magazyn jest wynikiem Jej ofiarności i patriotycznej postawy oraz wyrazem umiłowania i przywiązania do polskości. Jest niedochodowy, nie utrzymuje się z subsydiów, ani polonijnych, ani polskich. Podkreślamy, że tak Redaktorka CA, jak i autorzy magazynu, nie otrzymują żadnego wynagrodzenia. CA to efekt cierpliwej pracy i szlachetnego zaangażowania społeczniczki, poświęcającej własne środki i czas na utrzymanie witryny, nie czerpiącej innych

korzyści jak te, które składają się na osobistą satysfakcję, że magazyn i Ona sama przyczyniają się do szerzenia kultury polskiej oraz wymiany intelektualnej i artystycznej między twórcami i czytelnikami rozsianymi po całym świecie.

Prowadząca CA, Joanna Sokołowska – Gwizdka jest twórczynią jednego z nielicznych poloników w skali światowej, który dla twórców polskich za granicą jest platformą porozumienia i współpracy. Innymi słowy, CA to przyczynek do literatury i kultury polskiej, na istnieniu którego zależy wielu społecznościom, także tym, mieszkającym w Polsce. Dla autorów i artystów polonijnych i polskich, CA stwarza jedną z nielicznych szans zaprezentowania twórczości i myśli emigracyjnej oraz osiągnięć Emigracji. Jako twórcy kultury emigracyjnej i autorzy polscy mieszkający poza Polską, cenimy możliwość prezentacji własnej twórczości stworzoną przez Joannę Sokołowską – Gwizdka: dzięki niej praca Polaków mieszkających poza Krajem jest widoczna zarówno w Ojczyźnie jak i w krajach osiedlenia.

Przekazując na Pani ręce nasz apel-prośbę o okazanie zrozumienia i odstąpienie od roszczeń względem Joanny Sokołowskiej – Gwizdki pragniemy podkreślić i zwrócić uwagę Pani na fakt, że działalność Redaktorki CA ma, ponad wymienione wyżej zalety, nieocenioną wartość dla polskiego dziedzictwa kulturowego, jako że „Culture Avenue” jest ponad wszystko formą zapisu (prac, utworów, idei i przekonań

artystycznych, teoretycznych i socjologicznych), który podlega archiwizacji (Biblioteki Narodowej, wyd. ciągłe: ISSN 2544-0993) i badaniom, z oczywistym w takim przypadku uwzględnieniem pożytku poznawczo-badawczego nie tylko dla współcześnie pracujących akademików, ale dla przyszłych pokoleń Polaków. Poza tym, prosimy też zwrócić uwagę na fakt, że publikowane na łamach „Culture Avenue" szkice, wywiady lub eseje naukowe opatrzone są komentarzem, opracowaniem lub wstępem pióra Joanny Sokołowskiej – Gwizdki, która i w ten sposób realizuje edukacyjno-oświatową, oświeceniową rolę cenionej przez nas i naszych czytelników witryny „Culture Avenue".

Na zakończenie, wysoce podkreślając dobro i korzyści społeczne wynikające z działalności Joanny Sokołowskiej – Gwizdki, pragniemy wspomnieć, że roszczenia Pani względem Niej, są nie tylko dotkliwym personalnym i finansowym ciosem w Redaktorkę CA, ale przekreślając możliwość kontynuowania redagowania i wydawania przez Nią „Culture Avenue", jest także ciosem — pewnie przez Panią nie zamierzonym, a jednak niezmiernie celnym — wymierzonym przeciwko szlachetnemu patriotycznemu celowi oraz środowiskom popierającym tenże humanitarny i kulturowy projekt oraz działalność oddanej mu osobie. Pozwalając sobie na truizm dopowiemy, że dążeniem i staraniem niejednego Polaka, zaś emigranta szczególnie, jest praca społeczna na rzecz Kultury Polskiej. Prosząc o zmianę Pani

postawy, to jest, wycofanie swoich roszczeń względem Joanny Sokołowskiej – Gwizdki, nie wątpimy, że dostrzeże Pani w Jej działaniu tzw. cel wyższy, w tym, działanie Redaktorki na rzecz dobra ogólnego. Ponadto, wykazując wartości pracy Joanny Sokołowskiej – Gwizdki jako rudymentarną podstawę na usprawiedliwienie Jej niezamierzonego niedopatrzenia i naszego wstawiennictwa za Nią, liczymy nie tylko na wyrozumiałość i wielkoduszność Pani, osoby wszak głęboko zaangażowanej w powiększanie polskiego dorobku kulturowego, ale na to, że w pełni odstąpi Pani od wszelkich żądań i uwolni Ją od jakichkolwiek konsekwencji prawnych i pieniężnych.

Z poważaniem

(45 podpisów znanych twóców kultury, pisarzy, poetów, dramaturgów, malarzy, kompozytorów i innych artystów, mieszkających na różnych kontynentach. Nazwiska znane redakcji).

*

O autonomii uczelni w realiach współczesnego życia akademickiego w Polsce

Fot. thata_tonks z Pixabay

Prof. zw. dr hab. Maria Wichowa

Uniwersytet Łódzki

Wyraz *autonomia* ma grecką etymologię, utworzony został z dwóch słów: *auto* i *nomos*. *Auto* (gr. *autos)* znaczy *sam* zaś *nomos* (gr. *nomos*) to *prawo*, natomiast greckie pojęcie *autonomia* oznacza *samostanowienie*, prawo do samodzielnego rozstrzygania sprawy wnętrz danej zbiorowości[1]. Odnosiło się ono między innymi do rządów w miastach greckich, które posiadały swoje prawa. Polskie odpowiedniki to niezależność, samorządność. Uczelnia posiadająca autonomię, jest niezależna,

suwerenna, samodzielna. W dawnych wiekach szkoły wyższe (akademie) powoływał papież na skutek starań władcy. W aktach fundacyjnych pojawiał się osobny punkt, w którym zarówno *pontifex maximus* jak i król nadawali powoływanej instytucji autonomię, zobowiązując się do jej poszanowania i respektowania wynikających z niej praw władz uczelni oraz studentów. Właściwie szkoły wyższe – „ mimo przemian w zakresie, formach, treściach ich działalności – zachowały do dzisiaj pewne podstawowe elementy struktury organizacyjno – ustrojowej ukształtowanej w średniowieczu, a następnie wzbogaconej lub zmodyfikowanej przez model uniwersytetu liberalnego”[2].

Wśród najważniejszych cech systemu organizacyjnego uniwersytetu trzeba wskazać korporacyjny charakter władzy połączony ze strukturą cechu, zaś struktura władzy, relacje pomiędzy poszczególnymi jednostkami (fakultety, później wydziały, katedry) bywały różne: władza kolegialna lub jednoosobowa. Sposób powoływania władzy także funkcjonował w dwóch wariantach: dominacja bądź wybór. W średniowieczu czyli w dobie powstawania pierwszych wyższych uczelni (XIII w.) funkcjonowały one jako korporacje na wzór gildii kupieckich czyli zrzeszeń osób mających na celu realizację pewnych wspólnych samodzielnie ustalanych na walnych zgromadzeniach zadań. Uniwersytety posiadały osobowość prawną, działały na podstawie statutu nadawanego przez władzę miejską lub

królewską. Działalność uczelni finansowały początkowo organizacje kościelne[3] a stopniowo przejmowali ten obowiązek władcy[4]. Korporację uniwersytecką tworzyły jednostki mniejsze, tak zwane fakultety, w skład których wchodzili nauczyciele akademicy oraz nacje, gromadzące studentów. Fakultety z biegiem czasu przeobrażały się w wydziały, tworzone przez profesorów, reprezentujących różne specjalności naukowe, a całość uniwersytetu reprezentował senat, do którego powoływano przedstawicieli wydziałów. Senat wybierał rektora, a wydziały dziekanów. Decyzje podejmowano kolegialnie, w drodze głosowania.

Kompetencje jednostki najniższego poziomu w hierarchii uniwersytetu skupione były w rękach profesorów – kierowników katedr, odpowiedzialnych za działalność akademicką w danej dyscyplinie. Ich władza, oparta na personalnej kompetencji, wzorowana była na władzy mistrza w cechu, któremu podporządkowani byli czeladnicy – pracownicy niesamodzielni oraz uczniowie – studenci. W ten sposób – kierownicy katedry – sprawowali władzę oparte na autorytecie osobistym i kontrolowali – każdy z nich – określoną dyscyplinę. Łącznie zaś tworzyli, złożone z równych, sobie ciało kolegialne, nadzorujące szerszy zakres dyscyplin akademickich[5].

Kolejny etap rozwoju wyższych uczelni w średniowieczu, szczególnie na terenie Włoch to uniwersytet liberalny, także

posiadający autonomię. Jest on oparty na wolności badań i wolności nauczania, całkowicie odrzucający wszelką zewnętrzną ingerencję w zasady jego funkcjonowania i w jego aktualną działalność.

Gdy pojawiały się informacje o pracach nad zmianą ustawy o szkolnictwie wyższym polscy intelektualiści zorganizowali w Warszawie sesję naukową 10 maja 2017 roku. Przedstawiciele środowiska akademickiego spotkali się na konferencji na temat autonomii uczelni. Spotkanie zorganizowane zostało przez Komisję ds. Komunikacji i Odpowiedzialności Społecznej KRASP, Instytut Problemów Współczesnej Cywilizacji im. Marka Dietricha oraz Politechnikę Warszawską. Temat obrad to *Autonomia uczelni i środowiska akademickiego – odpowiedzialność i etos akademicki* [6]. Powszechnie wiadomo., że środowisko akademickie postrzega autonomię uczelni jako niezbędny warunek istnienia wolności akademickiej, umożliwiający właściwe wypełnianie misji uczelni przez jej pracowników naukowych. Z okazji 900-lecia Uniwersytetu Bolońskiego podpisano w 1988 roku *Magna Charta Universitatum Observatory*. W tym dokumencie wśród podstawowych zasad stanowiących podstawę działalności uniwersytetów na pierwszym miejscu wymieniono autonomię uczelni. Obecnie również *European University Association* (EUA) przypisuje autonomii uczelni duże znaczenie w swoich dokumentach i prowadzonych debatach. Ostatnia konferencja

EUA w Bergen poświęcona była kwestiom autonomii uczelni[7]. Jest oczywiste, że tego problemu nie można oddzielać od odpowiedzialności środowiska naukowego i dbałości o wysoki etos akademicki. Jednak problem autonomii uczelni i jej zakres jest nieraz kwestionowany; głównie przez środowiska pozauczelniane. Zwolennicy ograniczania czy nawet usunięcia z realiów życia akademickiego tej podstawowej wartości, której nie można przecenić, co dobrze rozumieli pierwsi założyciele uniwersytetów, stosują przewrotne i demagogiczne rozumowanie. Przede wszystkim kwestionują podstawowe zasady życia naukowego i organizacyjnego uczelni zarzucając, że przywiązywanie dużego znaczenia do autonomii szkół akademickich jest tylko wyrazem konserwatyzmu tego środowiska, przyzwyczajonego do tradycji, rodzajem „intelektualnego kołtuństwa”, a nie kultywowaniem ponadczasowych wartości. Pytają też przewrotnie o to, czy rzeczywiście wolność akademicka, gwarantowana przez autonomię uczelni, jest niezbędnym warunkiem twórczości, czy też jest wyrazem roszczeń środowiska, które domaga się nieuzasadnionego przywileju? Autonomia uczelni drażni tych wszystkich, którzy pragną mieć wpływ na działanie wszelkich niezależnych instytucji i posiadają skuteczne narzędzia do ograniczania i likwidacji tej przez wieki pielęgnowanej ostoi wolności akademickiej.

Uczestnicy warszawskiej konferencji opowiedzieli się po stronie

poszukiwania prawdy i wolności myślenia, utrzymania autonomii uczelni, za kultywowaniem w tym zakresie dorobku środowiska akademickiego wypracowanego w dobie staropolskiej, w czasach oświecenia i żywotnego w dobie nam współczesnej.

Prof. Piotr Sztompka z Uniwersytetu Jagiellońskiego wykazywał, wnikliwie analizując zagadnienie[8], że autonomia jest fundamentem kultury akademickiej. W jego rozumieniu autonomia uniwersytetu to nic innego jak „niezależność kultury akademickiej w stosunku do innych pozaakademickich kultur i niesionych przez nie wartości. A naruszanie autonomii to inwazja elementów z innych kultur na teren kultury akademickiej, parafrazując Jurgena Habermasa: „kolonizacja tej kultury przez wartości jej obce”[9]. Naruszanie bądź ignorowanie. tej niezależności dokonuje się na dwa sposoby drogą prawną – przez zmianę obowiązującego prawa gwarantującego autonomię oraz/(lub) drogą mentalną – przez adaptację do obecnego systemu wartości, akceptowanego przez społeczeństwo, dla którego naczelną wartością jest pieniądz. Ograniczanie autonomii czy też całkowita jej marginalizacja, zachowywanie pozorów jej respektowania jest boleśnie odczuwalne w obszarze wolności badań i nauczania oraz w dziedzinie samorządności, czyli niezależności organizacyjnej.

Tradycja staropolska i oświeceniowa przekazała współczesnym uniwersytetom przekonanie, że autonomia oznacza wolność

wyboru problematyki i dostosowanie do niej metod badawczych. Nie przestrzega i nie szanuje tej zasady obecnie uprawiana tzw. „polityka naukowa” polegająca na szczegółowym planowaniu w nauce, na narzucaniu tematów badawczych, na naginaniu argumentów dla uzasadnianiu fałszywej tezy, np., że biurokratyzacja, monstrualnie rozbudowana sprawozdawczość, szczegółowe kontrole nauczania poprzez składanie konspektów zajęć, są wprowadzone dla dobra uczelni, pracowników itd. Tymczasem są narzucane z zewnątrz według kryteriów pozanaukowych (np. tzw. tematy zamawiane, kiedyś węzłowe, resortowe itp).

Prof. Sztompka wskazał, że niezgodny z istotą autonomii jest nacisk na praktyczne zastosowanie wyników badań, niecierpliwość w oczekiwaniu na zakończenie prac, lekceważenie przekonania, że „nie ma nic bardziej praktycznego niż wiedza prawdziwa”. Profesor przytoczył tu słowa Alexandra von Humboldta. Opowiadając się za zachowaniem prawa do wolności badań krakowski uczony oświadczył, że „nie zgadza się z tą regułą także logiką konkursów o granty, owe brane z sufitu kosztorysy i harmonogramy”, bo przecież nie można przewidzieć długości podjętych badań, które od wieków mają być twórcze i odkrywcze, w sposób widoczny wzbogacające dotychczasową wiedzę, a czasem przecież przypadkowo można trafić na nowy wątek badań, który zachęca do ich kontynuowania w rozszerzonym wymiarze. Co zatem w takiej sytuacji ma zrobić

uczony, który wcześniej musiał sporządzić kosztorys i wskazać termin zakończenia książki? Co z wolnością badań?

Autonomia pracy profesorów na uczelniach w dawnych wiekach oznaczała wolność wyboru zagadnień omawianych na zajęciach ze studentami i metod dydaktycznych. Obecnie nie respektuje się tej zasady, bowiem „królową nauk” stała się biurokracja, powołano Krajowe Ramy Kwalifikacji, owe niezliczone punkty i podpunkty instruujące szczegółowo, jak ma postępować profesor czy inny samodzielny pracownik naukowy, mimo że wysokie umiejętności tego pouczanego „nieudacznika” potwierdził prezydent RP nadając mu tytuł profesorski. Znieważenia autonomii dostrzegam również w tym, że obecne przepisy narzucają rozdźwięk między dydaktyką a badaniami własnymi profesora, wprowadzaniu studentów do jego własnego warsztatu naukowego. Trzeba respektować obowiązek przekazywanie wiedzy czerpanej z drugiej ręki, z obcych podręczników, nie ma okazji do zapoznawania młodzieży z najnowszymi wynikami badań nauczyciela akademickiego. Trzeba przestrzegać ogólnie przyjętego schematu kształcenia. Tymczasem ten element tradycji uniwersyteckiej, tzn. oddziaływanie wybitnego uczonego, mistrza na studentów jest zmarginalizowany. Mamy skłonić młodzież akademicką do opanowania podstaw wiedzy z danej dyscypliny, natomiast budowanie warsztatu pracy, kształtowanie osobowości studenta, jego postawy obywatelskiej, wrażliwość na wydarzenia

dominujące w życiu publicznym, lojalność wobec wspólnoty, do której przynależymy, wpajanie wysokich wartości etycznych, przygotowanie do udziału w życiu publicznym, praktyczne przyuczenie do występowania w debatach, uczenie i praktyczne wdrażanie kultury dyskusji, nie są ujęte w żadnych przepisach i nie stanowią przedmiotu troski władz. Dużo ważniejsza jest buchalteria, pisanie konspektów zajęć i przedstawianie ich do kontroli. Choć pracownik autonomicznej uczelni ma świadomość, że młodzieży takie praktyczne przygotowanie jest potrzebne, nie może tego rodzaju inicjatywy podjąć. Tradycja uniwersytecka przekazała, że autonomia wymaga samooceny dokonanej przez środowisko akademickie. Tymczasem kryteria oceny dorobku i pracy dydaktycznej nauczyciela akademickiego powstały na najwyższym szczeblu, zmiany nie podlegały merytorycznej konsultacji na poziomie wydziałów uczelni, Twórcy tych nowych zasad są przekonani, że ewaluacja to serce Konstytucji dla Nauki. W wyniku reformy system oceny działalności naukowej został gruntownie zmieniony, jednak niekoniecznie na korzyść pracowników – niezależnych badaczy, pionierów i odkrywców. Biurokratyczna punktacja publikacji jest zupełnie nowa, dodatkowo zależna jest od wykazów czasopism i wydawców, których jeszcze nie ma. Zwłaszcza zawartość tego drugiego wykazu jest wielką niewiadomą i będzie miała kluczowe znaczenie dla nauk humanistycznych.

Fot. Pexels z Pixabay

Nie pora tu szczegółowo omawiać zasady punktacji, która jest podstawą oceny wartości publikowanych prac. Nie ich wartość merytoryczna jest podstawą oceny tylko wydawca, w którego oficynie książka się ukaże. Monografie wydane przez oficyny z poziomu I wyceniane są na 80 pkt, te z poziomu II na 250 pkt. Monografie spoza wykazu to 20 pkt. Artykuły w czasopiśmie z wykazu będą punktowane od 20 do 200 punktów. Artykuł z czasopisma poza wykazem to 5 punktów. Artykuły w czasopiśmie z wykazu będą punktowane od 20 do 200 punktów. Artykuł z czasopisma poza wykazem to 5 punktów. Tak więc wartość monografii, według tych kryteriów może być mniejsza niż artykułu w czasopiśmie. Co zatem z wolnością badań? Do tej pory uczony „wpadał na trop” nowego zagadnienia, widział tam szansę prowadzenia odkrywczych prac, na początku pracy nie był w stanie określić, jaki będzie jej wynik po ukończeniu badań i napisaniu książki, w której przedstawił ich wyniki. Liczyła się przede wszystkim odkrywczość prowadzonych prac, pasja

badawcza i radość tworzenia nowej wiedzy. Teraz przydatne są profetyczne umiejętności moc przewidywania, czy prowadzone studia się opłacą, czy warto je prowadzić ze względu na punktację. Trudno oczekiwać, że te zmiany spotkają się z akceptacją większości środowiska akademickiego, bo stoją w sprzeczności z zasadą niezależności badań. Jeśli mimo tych barier polscy uczeni dokonują odkryć na miarę światową, niekoniecznie ich wysiłek intelektualny jest „skonsumowany" przez gospodarkę. W roku 2015 badacze z Politechniki Łódzkiej opracowali i zaprezentowali urządzenie do produkcji grafenu[10] z fazy ciekłej. Rok później wynalazek ten uzyskał ochronę patentową w Unii Europejskiej i USA. Jednak w Polsce nie zastosowano tej metody na skalę przemysłową. Inicjatywę przejęli Japończycy i Chińczycy.

Wreszcie trzeba też egzekwować we współczesnych realiach akademickich fakt, że autonomia wymaga odpowiedzialności za wypełnianie powinności wobec uczelni, ale powinności te mają być rozliczane i egzekwowanej przez samo środowisko, oceniające je według wysokich wymogów. Szczególnie ważne są tu pozytywne kryteria uznania dla osiągnięć i dorobku naukowego, wyróżnienia, nagrody. Stosowane są również kary, a one są orzekane tylko w wypadku oczywistych przypadków łamania etyki środowiska. Zagrożenie dla tego aspektu niezależności uczelni to prerogatywy czynników i kryteriów zewnętrznych, a więc nadzór i kontrola prowadzone przez rady

nadzorcze, tzw. partnerów społecznych, zatem obcy kulturze akademickiej czynnik polityczny, samorządowy i biznesowy. Autonomię narusza przymusowa, obsesyjna sprawozdawczość, ów nieustanny audyt stanowiący udrękę pracowników i władz uczelni, Wszystko to ma negatywny wpływ na niezależność w obszarze twórczych badań, na ich innowacyjność i na poziom dydaktyki oraz na kulturotwórcze oddziaływanie uczelni na inne środowiska współpracy z otoczeniem,

Uczelnie posiadające dużą autonomię doceniają aspekt praktyczny: dobrą kooperację z biznesem i z przemysłem, oczywiście potrzebną, ale też, a może przede wszystkim, stawiają sobie za cel realną obecność szkół wyższych w życiu i funkcjonowaniu państwa, służebność nauki w obszarze kultury i relacji społecznych. Uniwersytet ma kształtować elity społeczne, uczyć tolerancji, a nie prowadzenia walki z inaczej myślącymi, szacunku do prawdy, której poszukujemy podczas badań i która powinna być imperatywem dla życia akademickiego, wskazywać konieczność wymiany argumentów racjonalnych, a nie posługiwania się demagogią, co w codzienności RP coraz częściej jest obecne. Uniwersytet ma dbać, bez względu na liczne niesprzyjające okoliczności, o godność i dostojeństwo[11] swojej społeczności, o jej wysoką kulturę, także o kulturę języka, o nie budzący zastrzeżeń poziom etyczny pracowników wypowiadających się jako autorytety czy eksperci w mediach. Mamy wychowywać nie przez oracje umoralniające lecz poprzez

przykład, wedle antycznej maksymy *Verba docent (movent),exempla trahunt*, co staropolska paremia oddaje słowami: *Przykład lepszy niż nauka: czyń, co mówisz, to mi sztuka*[12].

Należy uwzględniać fakt, że autonomia polega na respektowaniu zasady niezależnej od czynników zewnętrznych elekcji władz uczelni wszystkich szczebli. Istotne jest, że kampanie wyborcze i same wybory stanowią wyjątkowe możliwości autentycznej mobilizacji całej wspólnoty akademickiej, że ma wówczas miejsce legitymizacja oddolna oparta na wyrażonym w wyborach zaufaniu. Stanowi ona wyjątkową wartość i jest niezbędnym czynnikiem zarządzania na wszystkich szczeblach uczelni. Prof. Sztompka mocno akcentuje przekonanie, że autonomia uniwersytetu i wytworzony przez nią zespól zasad funkcjonowania niezależnej uczelni stanowi wielką wartość i kapitał społeczny, autonomia to warunek *sine qua non* życia akademickiego. .

Niestety, we współczesnych realiach życia akademickiego coraz częściej pojawiają się oznaki braku poszanowania dla autonomii uczelni i odważna jej obrona, walka o niedopuszczanie narzucania z zewnątrz jakichkolwiek ograniczeń wolności badań. Oto przykłady lekceważenia autonomii, z ostatniej chwili. W dniu 19 maja 2018 r. w ośrodku Uniwersytetu Szczecińskiego w Pobierowie rozpoczęła się konferencja naukowa poświęcona

twórczości Karola Marksa, jak wiadomo, jednego z XIX – wiecznych filozofów, „ojca” socjologii. Jakiś „sygnalista” powiadomił prokuraturę o tym „nieprawomyślnym” spotkaniu uczonych, a ta posłała na obrady policję, która miała szukać wśród uczestników dowodów „praktyk totalitarnych”. Policjanci, z nagła przeobrażeni w ekspertów od poprawności politycznej (ideologicznej) przystąpili, jak to teraz mówią, do czynności, wolno się domyślać, że dochodzeniowych, które polegały na legitymowaniu osób biorących udział w obradach i przeglądaniu, „zabezpieczaniu” programu spotkania. Trudno to cenić inaczej jak brutalną próbę ingerencji władzy państwowej w życie naukowe autonomicznego środowiska uniwersyteckiego, posiadającego od wieków prawo do wolności badań i do dochodzenia do prawdy. Ci doraźnie powołani poszukiwacze dowodów nieprawomyślności w pracach naukowych raczej zawiedli zleceniodawców podjęcia owych „czynności”, bo nie potrafili udowodnić, że studiowanie pism Marksa to przestępstwo, natomiast za ewidentne naruszenie autonomii uczelni nikt nie odpowiadał. Wolność tego środowiska jest coraz bardziej marginalizowana i lekceważona. Nasuwa się jeszcze jedna refleksja połączona z niepokojem o to, czy aby dzieła Karola Marksa nie trafią na być może wkrótce powołaną przez jakiś ruch społeczny listę ksiąg zakazanych. A może powstanie indeks tematów badawczych pożądanych i niedozwolonych? To nie są obawy z podtekstem ironicznym tylko troska o to, aby wolność badań naukowych nie była fikcją.

Na Uniwersytecie Śląskim w marcu 2019 roku. profesor E. B., socjolog prowadziła zajęcia, na których wygłaszała poglądy wywołujące dezaprobatę ich uczestników. Studenci zarzucili wtedy wykładowczyni, że prezentuje ona w swym nauczaniu nietolerancję i homofobię. Oficjalną skargę młodzież złożyła do władz uczelni w dniu 8 stycznia 2020 roku. Rzecznik dyscyplinarny Uniwersytetu Śląskiego wystąpił z wnioskiem do komisji dyscyplinarnej o ukaranie pani profesor naganą, więc ona na znak protestu odeszła z uniwersytetu. Na tym jednak sprawa się nie zakończyła, ponieważ decyzję władz uczelni kwestionują prawnicy z *Ordo Iuris*, prokuratura i policja, która pod nadzorem Prokuratury Rejonowej Katowice-Południe prowadzi śledztwo w sprawie wszczęcia wspomnianego postępowania dyscyplinarnego i przesłuchuje studentów, według relacji mediów, w sposób dla nich stresujący i poniżający ich, stawiając im bezzasadne zarzuty. Władze uniwersytetu mówią publicznie, że to ingerencja w autonomię funkcjonowania organów uczelni. Rektorzy katowickiej uczelni w dniu 25 maja 2020 r. obradowali w sprawie toczącego się postępowania i przesłuchań studentów i wydali oświadczenie, którego fragment brzmi:

> Z głębokim zaniepokojeniem odbieramy podejmowane przez organy ścigania przesłuchiwanie studentów, którzy zdecydowali się wnieść skargę na budzące ich sprzeciw

> treści zajęć prowadzonych przez Panią dr hab. E.B. Skarga ta stanowi przedmiot postępowania prowadzonego przez niezależną komisję dyscyplinarną UŚ, zgodnie z obowiązującymi w tym względzie przepisami. Nie ma żadnych podstaw, aby wątpić w rzetelność i bezstronność działań tej komisji.

Są to słowa prof. dr hab. Ryszarda Koziołka, prorektora ds. kształcenia i studentów Uniwersytetu Śląskiego. Nasuwa się tu oczywista refleksja i zarazem wniosek, że autonomia, fundament kultury akademickiej, została tu brutalnie zlekceważona tak jak zostały upokorzone i poniżone władze uczelni, których decyzji nie aprobuje *Ordo Iuris*, instytucja uzurpująca sobie prawo do ingerencji w sprawy uniwersytetu i w relacjach z prokuraturą ma więcej do powiedzenia od rektora, którego decyzje podważa. Pojawia się pytanie o to, jakim prawem organizacja ta ignoruje czy marginalizuje władze uniwersytetu, jakim prawem tak ostentacyjnie i lekceważąco traktuje decyzje komisji dyscyplinarnej Uniwersytetu Śląskiego? Czy władze autonomicznej uczelni mają respektować tak bezpardonowe łamanie zasady samorządności uniwersytetów? Co to za instytucja, która uzurpuje sobie prawo do bezwzględnej i skutecznej, aczkolwiek całkowicie bezprawnej ingerencji w życie uczelni, ostentacyjnie łamiąc przy tym normy i dobre obyczaje akademickie oraz lekceważąc decyzje władz szkoły wyższej.

Kompetentnej odpowiedzi dostarcza nam historia, teksty źródłowe poświadczające przebieg wieloletnich kampanii o autonomię szkół wyższych.

***

Wyższe uczelnie w dobie staropolskiej i w czasach oświecenia, na przestrzeni wielu stuleci przeszły niejedną zwycięską batalię o zachowanie autonomii uczelni, przekazały bardzo potrzebne nam współczesnym bogactwo swoich doświadczeń na temat zachowania tej wartości i zarazem fundamentu kultury akademickiej oraz wiedzę o metodach walki o tę zdobycz i przywilej, gwarantujący wolność i niezależność życia naukowego, o sposobach organizowania tego „ruchu oporu", batalii o poszanowanie odwiecznych praw rządzących życiem uniwersytetu, o godność profesorów i studentów, o szacunek dla władz uczelni i dla praw w naszym środowisku obowiązujących, zgodnych przecież z prawem krajowym. Omówione tu przykłady łamania we współczesnych realiach życia akademickiego autonomii uczelni budzą wielki niepokój i zdecydowany protest tych profesorów, którzy są krnąbrni, niezależni w myśleniu i dalecy od zaakceptowania sytuacji, w której władza tłumaczy opinii publicznej, że są w społeczeństwie kasty, np. sędziowska, że środowisko akademickie ma bez szemrania zaakceptować nowe „lepsze" przepisy, dzieło ministerialnych urzędników, pozbawiające go możliwości decydowania o swoich sprawach,

pogrążające w mrokach niepamięci historii podstawową wartość, jaką jest autonomia uczelni, choć mimo różnych meandrów losu przetrwała ona od średniowiecza do dziś. Nie „zniewolone umysły”, by użyć terminu Miłosza, ale otwarte i niezależne, gwarantują rozwój nauki.

Tak w praktyce prezentuje się obecnie wolność badań prowadzonych na uczelni rządzącej się przypisaną jej przed wiekami autonomią – wartością bezcenną i ponadczasową.

Fot. Clker-Free-Vector-Images z Pixabay

Przypisy:

[1] Por. *Słownik wyrazów obcych PWN,* Warszawa 1980, s. 58; zob. także: Jerzy Bralczyk, „Autonomia”, samorządność, niezależność w języku polskim, [w:] *Autonomia uczelni i środowiska akademickiego – odpowiedzialność i etos akademicki,* Warszawa 2017, s. 17.

[2] Cyt. z: Julita Jabłecka, *Niezleżność, autonomia i wolność akademicka a modele koordynacji szkolnictwa wyższego. Na marginesie artykułu c.Kerra,* „Nauka i Szkolnictwo Wyższe" 2004 nr 1 (23), s 58- 77.

[3] Jabłecka, op. cit., s.60.

[4] Jan Szczepański, *Szkice o szkolnictwie wyższym,* Warszawa 1976; por. także: Janusz Tymowski, *Organizacja szkolnictwa wyższego w Polsce,* Warszawa 1976.

[5] Jabłecka, op. cit., s. 60.

[6] Publikacja materiałów z obrad w tomie: *Autonomia uczelni i środowiska akademickiego – odpowiedzialność i etos akademicki,* Warszawa 2017.

[7] Podaje za: Andrzej Kraśniewski, *Autonomia wśród podstawowych celów European University Association i innych organizacji działających w europejskim środowisku akademickim,* [w] *Autonomia uczelni…,* s.39 – 50.

[8] Piotr Sztompka, *Autonomia fundamentem kultury akademickiej,* [w:] *Autonomia uczelni i środowiska akademickiego – odpowiedzialność i etos akademicki,* Warszawa 2017 , s. 29- 34.

[9] Ibidem, s. 30.

[10] *Polska metoda produkcji grafenu z patentem w USA i UE*, [w:] Nauka w Polsce [online], PAP, 7 kwietnia 2016 [dostęp 2021-03-16].

[11] Kazimierz Twardowski, *O dostojeństwie uniwersytetu,* Poznań 1933.

[12] Samuel Adalberg , *Księga przysłów, przypowieści i wyrażeń przysłowiowych polskich*, Warszawa 1889 -1894, s. 450

[13] https://dzieje.pl/wiadomosci/we-wtorek-wyrok-ws-ksiazki-dalej-jest-noc

---

Wolny dzień

za Święto Trzech Króli

Austin, Teksas, Scenic Dr., widok na rzekę Colorado, styczeń 2021, fot. J. Sokołowska-Gwizdka

Święto Trzech Króli, przypadające 6 stycznia jest w Polsce ustawowo wolnym dniem. W magazynie „Culture Avenue” ukazał się tego dnia artykuł Moniki Klimowskiej – historyka sztuki, o pokłonie Trzech Króli w sztuce od początku chrześcijaństwa przez średniowiecze, renesans, aż do współczesności i polskiej reprezentracji w postaci pracy Władysława Skoczylasa. Ponieważ magazyn ukazuje się codziennie od poniedziałku do piatku, z

wyjątkiem świąt i dni ustawowo wolnych w Polsce, pozwoliłam sobie na „odebranie” dnia wolnego i przeznaczenie go na wycieczkę i nagranie reportażu o najbliższych okolicach Austin w Teksasie. Już niebawem ruszy cykl „Opowieści teksaskie” o ciekawych miejscach w Hill County, czyli rejonie pomiędzy Austin a San Antonio. Będzie zatem o teksaskim Białym Domu – siedzibie prezydenta L.B. Johnosna, o najstarszej miejscowości polskiej w USA – Panna Maria, o wielkich plantacjach winorośli i winiarniach z widokiem na wzgórza, o pieknych, artystycznych miasteczkach, wyglądających jak dekoracja z filmu o Dzikim Zachodzie, o wiktoriańskim hotelu w Austin, w którym zatrzymywała się Helena Modrzejewska, itd.

W ostatnim czasie w magazynie ukazywało się wiele ciekawych wywiadów z emigracyjnymi twórcami kultury i materiałów życia polskiego w dawnych wiekach. Tych z Państwa, którzy nie zdążyli się zapoznać, zapraszam do lektury.

Joanna Sokołowska-Gwizdka (redaktor)

Rozmowa z reżyserem z Los Angeles, Jerzym Antczakiem o jego najnowszej książce „Jak ja ich kochałem”:

> Podróż przez życie

Rozmowa z dramaturgiem z Buffalo, prof. Kazimierzem Braunem o jego najnowszej sztuce o Karolinie Lanckorońskiej:

> Karolina Lanckorońska

Wspomnienie pisarza, dramaturga i kompozytora z Toronto, Jarosława Abramowa-Newerlego, m.in. o wakacyjnych wyjazdach na Mazury z ojcem, pisarzem Igorem Newerlym i spotkaniach ze znannymi osobami ze środowiska twórców lat 70.

> Mój dąb w Suwałkach

O rodzinie Tyszkiewiczów z Litwy i życiu w Polsce w XIX w.:

> Tyszkiewiczowie. Kretynga 1.

> Tyszkiewiczowie. Kretynga 2.

Wywiad pisarki z Wilmington, w stanie Delaware, Aleksandry Ziółkowskiej-Boehm ze światowej sławy śpiewaczką operową, Zdzisławą Donat:

> Zdzisława Donat – słynny sopran koloraturowy

Nowy Rok 2021

Drodzy Autorzy i Przyjaciele magazynu „Culture Avenue”!

W Nowym Roku życzę, aby nie zabrakło nam normalności, bliskości drugiego człowieka oraz optymizmu, który tak nam teraz jest potrzebny.

Bądźmy razem, mimo wszystko, spotykajmy się na Culture Avenue, dzielmy się swoją wiedzą i twórczością, budujmy most pomiędzy nami, Polakami, których losy rzuciły poza ojczyznę a krajem z jego kulturą i historią.

Przypomnę, że magazyn „Culture Avenue" powstał w 2016 roku, jako kontynuacja redagowanego przeze mnie przez 6 lat „Listu oceanicznego" – pisma literacko-kulturalnego wydawanego przez „Gazetę" w Toronto Motywacją dla założenia pisma był prof. Florian Śmieja z Kanady, nestor poetów emigracyjnych, wielce zasłużony dla kultury polskiej poza krajem. Był moim najlepszym doradcą i współredaktorem.

> Ze Śląska w świat literatury i nauki. Prof. Florian Śmieja (1925-2019) o sobie.

Ważnym momentem dla magazynu było przyznanie w 2018 r. statuetki im. Macieja Płażyńskiego. przez Press Club Polska, za utrwalanie osiągnięć wybitnych Polaków działających na emigracji, o których w Polsce niewiele wiadomo. Statuetkę

odbierałam w Muzeum Emigracji w Gdyni.

> Nagroda dla magazynu „Culture Avenue”

W tym roku w lutym nastąpił atak hakerów na magazyn. W ciągu kilku godzin zniszczono ponad 1300 artykułów oraz wszystkie kopie, które były na tym samym serwerze. Potem nastąpiła pandemia, co utrudniło działania na rzecz odtworzenia zawartości.

Po ponad półrocznej przerwie, 15 października magazyn ruszył. Profesjonalna firma odzyskała dane i założyła zabezpieczenia. Mam nadzieje, że sytuacja się już nie powtórzy.

W roku 2021 w magazynie „Culture Avenue” będą kontynuowane cykle: w pierwszy poniedziałek miesiąca – wspomnienia dokumentalisty z Toronto, Tadeusza Jaworskiego, w pierwsza środę miesiąca – felieton Katarzyny Szrodt z Montrealu na temat sztuki emigracyjnej, we wtorki – poezja, w środy – galeria sztuki, w piątki – wywiady.

Dziś wyjątkowo, jeszcze w klimacie sylwestrowym, ukaże się artykuł o karnawale u Potockich z Łańcuta, zamiast wspomnień afrykańskich Tadeusza Jaworskiego. Wspomnienia te ukażą się w

poniedziałek – 11 stycznia 2021 r.

Pojawi się też nowy cykl – „Opowieści teksaskie”, ilustrowany materiałem filmowym.

Przy „Culture Avenue” powstanie Salon Wystawowy, w którym artyści – emigranci nie tylko będą pokazywać swoje prace, ale i będa mieli możliwość ich sprzedaży.

Powstaje też dział e-booków, z materiałami z „Culture Avenue”, które będzie można pobrać.

Poza tym, z radością informuję, że magazyn zyskał nowych autorów z nowymi pomysłami.

Zapraszam więc w Nowym Roku do lektury tekstów, a chętnych, którzy chcą się podzielić swoją twórczością, do współpracy.

z noworocznymi pozdrowieniami z Austin w Teksasie

Joanna Sokołowska-Gwizdka

redaktor

O redaktorze magazynu „Culture Avenue” – Joannie Sokołowskiej-Gwizdka:

Joanna Sokołowska-Gwizdka – laureatką ZŁOTEJ SOWY POLONII

Twórcy wizerunku Polonii

---

15 października 2020 – wznowienie publikacji po ataku

hakerów.

Drodzy czytelnicy! Po ataku hakerów i zniszczeniu zawartości magazynu, udało się odtworzyć bazę danych i przywrócić ponad 1300 artykułów, tworzących archiwum polskiej kultury poza krajem.

Wszystkim czytelnikom i przyjaciołom magazynu „Culture Avenue”, którzy wzięli udział w kampanii crowdfundingowej i pomogli w odbudowaniu pisma, bardzo dziękujemy!

Jednak ze względu na opóźnienia w nadsłynianiu tekstów przez autorów otwarcie magazynu nastąpi dopiero w czwartek 15 października 2020. Od tej pory będzie się ukazywać codziennie od poniedziałku do piątku, z wyłączeniem świąt obowiązujących w Polsce. Pojawił się też nowy cykl międzykontynentalnych spotkań z autorami magazynu „Culture Avenue” przez platformę Zoom. O szczegółach będziemy informować.

Z rodzinnego albumu. Zamość.

Rozpoczynamy publikację wspomnień Teresy Fabijańskiej-Żurawskiej, twórczyni historii pojazdów konnych, przez wiele lat związanej z Powozownią Zamkową w Łańcucie. „Z rodzinnego albumu" to losy rodziny pochodzącej z Wołynia, z dramatycznymi dziejami w tle, ale też pasjonująca praca, podróże, spotkania z ciekawymi ludźmi. Autorka dzięki wielkiej wrażliwości i talentowi literackiemu wspaniale nakreśliła życie Polaków, dla których, mimo trudnej historii, polska tożsamość i dziedzictwo kulturowe stanowiły największą wartość.

Kolejne części będą się ukazywać w trzeci piątek miesiąca.

Joanna Sokołowska-Gwizdka, red. magazynu „Culture Avenue".

Dom drewniany w Zamościu, w latach 1927-1975 własność Józefa Fabijańskiego, rys. Wrzesław Żurawski

Teresa Fabijańska-Żurawska *(Łańcut)*

Moje życie związane jest z kilkoma miejscowościami. Wszystkie są historycznie ważne, kulturowo bardzo ciekawe, artystycznie piękne i słynne.

Urodziłam się w Zamościu – późnorenesansowym mieście-twierdzy założonym w 1580 r. Przez hetmana Jana Zamoyskiego, kanclerza wielkiego koronnego. Miasto to zaprojektował w całości architekt – urbanista włoskiego pochodzenia, Bernardo Morando. Zamość posiada ok. 120 zabytków architektury, do których należą m.in. najwspanialsza kolegiata (obecnie katedra),

ratusz wraz z zespołem podcieniowych kamienic wokół rynku, zamek, a może raczej pałac Zamoyskich, przed którym postawiono pomnik założyciela, Jana Zamoyskiego na koniu, wykonany w konwencji znanych arcydzieł renesansowej rzeźby włoskiej. Pięknie się tam prezentuje i przypomina początki naszej Padwy Północy, jak zwykło się określać tę perłę miast. Zabytkiem jest gmach Akademii Zamojskiej (1594), do której uczęszczałam przez sześć lat szkoły średniej, kościół oo. Franciszkanów (przed wojną i po wojnie było tam kino i sala widowiskowa, gdzie graliśmy przedstawienia i słuchaliśmy koncertów znakomitych artystów polskich). Imponujący swą stylową formą architektury militarnej zespół fortyfikacji związany jest ze znanymi nazwiskami inżynierów i generałów włoskich i austriackich. Zachowana jest pamiątkowa cela, w której rząd carski więził Waleriana Łukasińskiego w latach 1824-26 za działalność patriotyczną. Jedną z pierwszych budowli wzniesionych przez B. Moranda był arsenał, usytuowany obok pałacu, mieszczący dzisiaj ciekawe zbiory muzealne z zakresu militariów. Istnieją cztery bramy wjazdowe w fortyfikacjach miasta z tym, że pierwsza brama Lubelska została zamurowana na pamiątkę przejazdu arcyksięcia Maksymiliana austriackiego po wzięciu go do niewoli w 1588 r. w przegranej bitwie pod Byczyną. Zwycięskie wojska hetmana konwojowały dostojnego więźnia w małej karetce, ale przez tę bramę nikt już więcej nie przejechał. Wybudowano drugą, obecnie zrekonstruowaną. Miasto Zamość zostało wpisane w 1980 r. na listę międzynarodowego

dziedzictwa kulturowego i jest Pomnikiem Historii. Jest to także miasto-bohater odznaczone Krzyżem Grunwaldu III klasy.

Na przestrzeni dziejów Zamość wiele wycierpiał. Po pierwszym rozbiorze Polski w 1772 r. zajęli miasto Austriacy. Dokonali wielu zniszczeń jego form artystycznych, traktując renesansowe ozdoby np. attyki, jako zbędne dla koszar wojskowych. Zubożona przez to została ich koronkowa dekoracja, jedyna w skali całego rynku, tak unikatowego miasta, gdzie każda kamienica posiadała na parterze podcienia, reprezentacyjne pierwsze piętro (odpowiednik piano nobile w pałacach) i mezzanin z attyką zasłaniającą pogrążony dach, zupełnie niewidoczny. Było to cudownie pomyślane, bowiem dekoracja architektoniczna i sztukatorska, na każdej kamienicy inna, podkreślona tu została kolorem mocnym, ale harmonizującym z całością. Chciałoby się powiedzieć – kolorowe, koronkowe miasto. Niestety, nie przywrócono tego w czasie rewaloryzacji trwającej długie lata 70. i 80., a mającej na celu m.in. „wydobycie zatartych walorów artystycznych”.

Zamość, chociaż uczestniczył we wszystkich wojnach, jakie na tych terenach się toczyły, nigdy nie był zniszczony działaniami wojsk. Twierdza zdała egzamin. Najboleśniejsza ostatnia wojna światowa lat 1939-1944 (dla tych terenów) pozostawiła Pomnik Martyrologii w rotundzie odległej od murów miasta ok. l km. Jest tam dzisiaj Mauzoleum Martyrologii Zamojszczyzny. Była to

niegdyś działobitnia wzniesiona w latach 1825-31 przez rząd carskiej Rosji (od 1815 zabór rosyjski) z czerwonej cegły w kształcie obwarzanka z celami wewnątrz i dziedzińcem z bramą wjazdową. Na tym dziedzińcu palono zwłoki więźniów trzymanych w okropnych warunkach i ścisku. Rozstrzeliwani byli na miejscu. Do dzisiaj brama nosi ślady odłamków kul, a wyrwa w murze po lewej stronie za bramą, za drutem kolczastym – to miejsce straceń. Ginęła tu przede wszystkim inteligencja, działacze ruchu oporu i ludzie o zdolnościach przywódczych. Ginęły tu również dzieci przywożone z terenów pacyfikowanych przez hitlerowców. Ostatni ordynat zamojski, senator Jan Zamoyski, wraz ze swoją żoną uratowali 300 dzieci, organizując im opiekę, wyżywienie, mieszkanie i naukę w Zwierzyńcu, gdzie mieszkali w latach okupacji. Te miały szczęście, po wojnie niektóre odnalazły rodziców.

W latach po okupacji hitlerowskiej Zamość leczył rany psychiczne i rozwijał się edukacyjnie i kulturowo. Było dużo szkół, także średnich, teatr amatorski, oczywiście przedstawienia szkolne, rewie, pokazy sportowe, ogniska harcerskie z artystyczną oprawą. Znakomicie dobierało repertuar kino „Stylowy”, do którego chodziło się na najgłośniejsze filmy zarówno zagraniczne, jak i polskie przed i powojenne.

Od 1975 r. podniesiono status miasta na wojewódzkie. Miało to pozytywny wpływ na rozwój urbanistyczny. Powstały nowe

osiedla mieszkaniowe. W Academii Zamoscensis znów otworzono uniwersytet. W hierarchii kościelnej kolegiata stała się katedrą, a w miejsce kolegium powstała kuria biskupia.

***

Babcia i córki – Czernichów, Ukraina, ok., 1910. Maria z de Schmieden-Kowalskich Piątkowska (ciocia Niusia) – z prawej, Emilia de Schmieden-Kowalska (ciocia Milusia) – z lewej, Maria Joanna z Moszynskich Anzelmowa de Schmieden-Kowalska (babcia) – w środku.

W 1932 roku, w Zamościu, pewnego jesiennego dnia, 30-go września, gdy słońce było w znaku wagi, wydarzyło się coś chyba

ważnego w rodzinie Józefa Wita Fabijańskiego i Eleonory z De Schmieden-Kowalskich, w ich własnym domu przy ulicy wówczas Lwowskiej, obecnie Partyzantów. Później komputer mi powiedział, że był to piątek – oznacza to pracowite i postne życie, do tego kryzysowe. Ci, którzy rodzą się pod znakiem „wagi” mają trudne życie, dźwigają swój ciężar, rozważając wszelkie za i przeciw. Ela, moja starsza siostra mówiła mi, że urodziłam się w czasie, gdy cała trójka rodzeństwa poszła na spacer, a gdy wrócili, byłam już ja – czwarte dziecko, najmłodsze i ostatnie.

Rodzice pobrali się w 1923 r. w Łucku, gdzie znajomy dziadków, ksiądz biskup Dybowski udzielił ślubu w tamtejszej katedrze, obecnie znów oddanej katolikom. Zamieszkali w Zamościu początkowo w wynajętym domu, podobnym do naszego, który już nie istnieje. Tam urodziło się dwoje z mojego rodzeństwa: Ela (1924) i Witek (1926). Później przenieśli się do swojego domu i tu przyszedł na świat Julek (1928) i ja (1932). Potem jeszcze Baśka, córka Witka (1954), a na koniec Wrzesław, mój syn (1957).

Pamiętam rozkład pokoi wtedy, gdy jako trzyletnie dziecko biegałam po domu ślizgając się na zawsze wyfroterowanych podłogach o długich deskach z sękami i dużymi gwoździami. Podłogi te były piękne, lśniące i wymagały ogromnej pracy.

Czas moich narodzin był fatalny. Światowy kryzys spowodował

bezrobocie. Dotknęło ono i mojego ojca, który ze stanowiska dyrektora prywatnej fabryki pana Kowerskiego, po jego śmierci i likwidacji zakładu, stracił pracę na kilkanaście miesięcy. Próby założenia własnej fabryki owoców i warzyw suszonych we Włodzimierzu Wołyńskim, skończyły się na plajcie, a wszystkie urządzenia, maszyny, suszarki, krajalnice itp. przyjechały do Zamościa i na strychu domu były przez wiele lat, nawet coś jeszcze zostało po wojnie. A więc nie zostałam córką fabrykanta. Natomiast brak pracy spowodował zwolnienie domowej służby i mój ojciec z konieczności więcej zajmował się mną, niż starszym rodzeństwem. Z ojcem zasypiałam, z ojcem wstawałam w nocy. To dobrze pamiętam. Może dlatego tak bardzo kochałam tego mojego tatusia.

Tata: Józef Wit Fabijański, w mundurze POW-iaka marszalka J. Pilsudskiego,

Sypialnia rodziców znajdowała się wtedy w pokoju od północy, oddzielonym od reszty domu przedpokojem. W pokoju jadalnym, centralnie położonym , było mnóstwo białych, filunkowych drzwi. Wchodziło się przez ganek i przedpokój na lewo do dużego pokoju, który długo był naszym dziecinnym, na prawo do małego pokoju-saloniku i do kuchni. Naturalnie, szerokie przeszklone drzwi z bocznymi, wąskimi oknami wychodziły na werandę i oświetlały ten przyciemnawy zwykle pokój malowany olejno w modne wówczas boazerie, niby deski na zmianę ciemne i jasne aż

do sufitu. Pokój ten był najmilszy wieczorem, gdy gromadziliśmy się wokół dębowego stołu. Życie rodzinne miało wtedy swój niezrównany charakter ciepła i bliskości. W świetle secesyjnej lampy, której jeszcze szczątki istnieją, siadaliśmy do kolacji, a później każdy coś czytał, szył, czy rysował. Nie było przecież telewizji, więc wieczory były organizowane inaczej. Po wojnie ojciec głośno nam czytał historyczne książki. Latem, szeroko otwarte drzwi stwarzały szczególny urok tego wnętrza, zwłaszcza w porze obiadowej w słoneczne dni. Nigdy tu nie było upału, a zimą długie promienie kładły się w głąb sięgając stołu. Urocze było to nasze miejsce, takie przytulne i tak łatwe w kontakcie z ogrodem, gdzie jaśmin można było rwać z okna, a duże donice z drzewkami pachnących oleandrów, różowych i fioletowawych, zdobiły dookoła werandę, późnym latem pachniały floksy w różnych odcieniach barw.

Niestety, po wojnie brak pieniędzy, zniszczenia i niedbałość lokatorów podczas lat naszej emigracji oraz totalna niemożność systemu administracyjnego, spowodowały, że dom starzejąc się robił się coraz zimniejszy i mimo gorących pieców temperatura w wietrzne zwłaszcza dni była za niska. Biedni rodzice z ciocią Izią, siostrą mamy, która wróciła właśnie z Kazachstanu jako gomułkowska repatriantka, marzli przez wiele lat i męczyli się w prymitywnych warunkach, jakie wtedy były przecież w Polsce wschodniej powszechne. Ale przywiązanie do tego domu i nasze przyjazdy trzymały ich psychicznie i fizycznie, praktycznie do

końca życia.

We wczesnym dzieciństwie zamojskim miałam trzy groźne przygody. Każda z nich mogła zakończyć się tragicznie. Najpierw, jako niemowlę zostałam nakarmiona przez nianię zielonymi porzeczkami. Ledwie mama odchuchała. Później, gdy już chodziłam, weszłam za służącą po bardzo stromych schodach na strych. W połowie drogi straciłam równowagę i spadałam. Szczęściem Jaś Piątkowski, brat cioteczny, właśnie wchodził i złapał mnie w powietrzu za sukienkę. Trzecia przygoda, którą także znam tylko z opowiadania, zdarzyła się na wiosnę. Mogłam mieć wtedy niespełna trzy latka. Starsze dzieci bawiły się w ogrodzie zajęte sobą, a ja dreptałam po grządkach i nagle wpadłam do płynnego śmietnika. Brat zauważył, że mnie nagle nie ma, narobił wrzasku i zostałam wyciągnięta za futerkowy płaszczyk tyczką do zrywania gruszek. Widocznie nie taki koniec mi w niebie przeznaczono.

Mama – Eleonora z de Schmieden-Kowalskich, Józefowa Fabijańska

Z uroczystości rodzinnych pamiętam większy rodzinny zjazd i zaprzyjaźnionych gości kiedy to nas, dzieci było dużo więcej i z tej okazji skorzystała moja siostra urządzając chrzciny lalki – Magdy, ślicznej, porcelanowej, zamykającej oczy z długimi rzęsami. Deska od stołu posłużyła za ołtarz. Lila, siostra cioteczna była księdzem w nocnej koszuli, bracia Witek i Julek służyli do mszy, a po tym wszystkim zaproszono nas do stołu na smakołyki. Pamiętam nasze zabawy w ogrodzie na wiosnę. Gry w

„kiczkę” i w palanta, a przede wszystkim w chowanki, gdyż ogród przed domem był nie tyle duży, co gęsto zarośnięty. Pod płotem maliny, przez środek alejka z krzakami porzeczek i agrestów. Drzewa jabłoni, grusze ozdobne krzewy bzów po bokach ganku, sercowaty klomb na osi z bajecznie kolorową mieszaniną o każdej porze innych gatunkowo kwiatów. Na obrzeżach, pod płotami sąsiadów rosły złocienie i floksy stwarzając możliwości kryjówek nie do odkrycia. Podwórze, przez które trzeba było przechodzić do nas, to były ogródki przed i dookoła każdego domu, a było ich pięć z naszym. W tym podwórzu rosła kochia – roślina-samosiejka, której nikt nie pielęgnował, ale rosła bujna, wysoka i rozłożysta, czasem smukła na kształt włoskich cyprysów. W niej najlepsze były chowanki, ale to było możliwe dopiero późnym latem. Lubiłam bardzo bawić się lalkami na schodach ganku, zwłaszcza w upalne dni. Ulubione zabawy w dom z gotowaniem na niby, z szyciem ubranek dla lalek i pożytecznym robieniem na drutach. Byłam w tym wszystkim zwyczajną, przeciętną dziewczynką, ale jedno różniło mnie od moich towarzyszek zabaw dziecinnych. Uwielbiałam wszystko, co piękne: ładne mieszkania, przedmioty artystyczne, stare antyki, musiał być ład i porządek, mieszkanka lalek posprzątane i ozdobione kwiatami, serwetkami, tkaninami, dywanikami. Przytulność, ciepło tkanin były mi zawsze potrzebne. Kiedy mieszkanie lalek, które znajdowało się pod biurkiem mamy, było wysprzątane oddawałam się cała doznaniom estetycznym i każdą zauważoną niedoskonałość, czy

szpetotę starałam się zasłonić: obrazem, meblem, tkaniną, lub kwiatem, aby nie raziła oczu, aby nie budziła poczucia wstydu, czy zażenowania.

Zamość z dzieciństwa i lat trzydziestych, pozostał w mej pamięci uroczysty, świąteczny, wyjątkowy. Pamiętam dobrze nastrój przedświąteczny w naszym domu i ogromną choinkę do sufitu, stojącą na dywanie francuskim w naszym, dziecinnym pokoju. Paliły się na niej lampki Philipsa kolorowe, podobne w kształcie do dużych śliwek. Bombki, łańcuchy z kolorowego, glansowanego papieru, paciorkowe kapliczki, koszyczki z wydmuszek i dzbanuszki czy ptaki, a wreszcie soplowate cukierki w błyszczących papierkach, pierniczki, szyszki, orzechy i czekoladowe cudeńka w cymfoliach – sprawiały, że choinka była bogata i przyciągająca największe łakomczuchy. Może w tym roku, ostatnim przed wyjazdem do Hrubieszowa, dostałam na gwiazdkę ukochanego Bila – psa-zabawkę z niebesko-żółtej flaneli z noskiem czarnym i pyszczkiem w pepitę. Został zapomniany na piecu, ku mojej rozpaczy.

Inspiracją i pobudzeniem wyobraźni dziecięcej byli kolędnicy, chłopcy z sąsiedztwa zarówno ci, co śpiewali: „po kolędzie, głośno wszędzie, niech pan Fabijański zdrów i wesół będzie …”, jak i też ci, którzy przychodzili do kuchni z jasełkami posługując się kukiełkami własnej roboty i tekstami anonimowych autorów ludowych. Najbardziej podobała mi się kolorowa, duża gwiazda,

którą obracał chłopak ubrany w kożuch do góry włosem, gwiazda wtedy rzucała coraz to inny migotliwy blask od zapalonej w środku świeczki. Była dla mnie czymś niezwykłym, przepięknym, magicznym. Wśród jasełkowych postaci obowiązkowo musiał być diabeł, król Herod i Żyd w świetnych, karykaturalnych przebraniach. Kolędnicy po występie dostawali ciasto, łakocie i pieniądze. Pamiętali to do następnego roku.

Józef Wit Fabijański jako szwoleżer, ułan I-go Pułku Szwoleżerów w Warszawie stoi pod Belwederem, 1918/19

Na Wielkanoc punktem kulminacyjnym przygotowań było pieczenie drożdżowego ciasta w prawdziwym, babowym piecu, który przetrwał do końca bytu moich rodziców, mimo, że zajmował 1/4 kuchni. (Baby Wielkanocne piekło się w ogromnych, kamiennych formach karbowanych, okropnie ciężkich). Do pomocy w tym okresie przychodziła sympatyczna kobieta zwana Antoniową. Przynosiła z sobą lampę naftową, którą zapalała wieczorem w sieni dla „pokutujących duszyczek", jak mawiała. Wyobraźnia dziecięca intensywnie wtedy pracowała, chcąc koniecznie ujrzeć taką duszyczkę.

Zamość przedwojenny pozostał w pamięci, jak kilka barwnych plam na obrazie impresjonistycznym. Nałożyły się na nie ciemniejsze kolory okresu stalinowskiego, biedy i przygnębienia, represji i podłości. Ale nie chcę Zamościa wspominać z tego smutnego okresu, przynajmniej nie teraz.

TERESA-ZOFIA FABIJAŃSKA-ŻURAWSKA ur. 30 września 1932 r. w Zamościu, w Polsce, emerytowany starszy kustosz Muzeum-Zamku w Łańcucie, jest historykiem sztuki ze specjalnością w dziedzinie pojazdów konnych. W 1956 r. ukończyła studia Historii Sztuki na Wydziale Humanistycznym Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego (KUL) otrzymując tytuł

magistra. Doktoryzowała się w Warszawie w Instytucie Sztuki Polskiej Akademii Nauk, uzyskując tytuł doktora nauk humanistycznych w 1982 r. W latach 1963-1994 pracowała w Muzeum-Zamku w Łańcucie kierując Działem Pojazdów Konnych. W latach 1984-1987 wykładała na Katolickim Uniwersytecie w Lublinie. Były to wykłady monograficzne z zakresu historii pojazdu zaprzęgowego, jego miejsca w kulturze, sztuce i obyczajach. Słuchaczami byli studenci Historii Sztuki – III-V roku studiów. Podczas wielu lat pracy w Muzeum organizowała wystawy na terenie Polski i w samym Łańcucie, prowadziła działalność popularyzatorską i dydaktyczną. Napisała i opublikowała 36 książek i ponad 100 artykułów związanych z dziedziną pojazdów konnych. Od 1965-1993 roku brała czynny udział w konferencjach Międzynarodowego Stowarzyszenia Muzeów Transportu (IATM) przy ICOM (International Council of Museums), reprezentując Polskę i Łańcut, wygłaszając referaty o polskich zbiorach muzealnych, problemach konserwatorskich dotyczących różnych eksponatów np. kolaski polskiej z XVIII w., na temat rekonstrukcji karet Jana III Sobieskiego i pracach dydaktycznych w muzeach.Wszystkie wygłoszone referaty zostały opublikowane w roczniku Stowarzyszenia IATM pt. „The Transport Museums”. Miejsca gdzie odbyły się te konferencje to: Budapeszt, Frankfurt/M, Paryż, Praga, Waszyngton. Dla pogłębienia wiedzy wyjeżdżała na stypendia do Francji, Portugalii, Włoch oraz do Belgii, Holandii, Anglii, Niemiec, Austrii, Szwajcarii, Danii, Szwecji, USA, Rosji, do Czech i na

Węgry, służbowo lub prywatnie, zapoznając się tam z muzeami państwowymi i kolekcjami prywatnymi dotyczącymi pojazdów konnych, obyczajów i etykiety dworskiej i dyplomatycznej. W Paryżu, pod patronatem Sorbony, odbywała badania i poszukiwania archiwalne, poznawała kolekcje i biblioteki, m.in. słynne zbiory „Hermesa” przy Faubourg St. Honore i Compliegne poza Paryżem.